

.... za rok, za dzień, za chwilę....

Słowa te znaleźć można w niejednym śpiewniku z piosenkami turystycznymi i biesiadnymi. Piosenka, w której refren ten jest wielokrotnie powtarzany, opowiada w prosty i melancholijny sposób o powszechnym doświadczeniu upływu czasu. Nie ma chyba kultury, która nie miałaby swojego kalendarza. I chociaż bywają różne kalendarza, zarówno lunarne (związane z fazami księżyca), jak i solarne (związane z pozornym ruchem słońca na ziemskim nieboskłonie), takie, w których lata liczy się od narodzin wybitnych osób, jak też takie, które rozpoczynają się od epokowych wydarzeń, to jednak potrzeba mierzenia czasu zdaje się być powszechna i głęboko tkwić w naturze ludzkiej. Człowiek czuje się wręcz przymuszony, by mierzyć czas. Jeśli z jakichś powodów traci poczucie czasu (np. gdy wybudza się po dłuższym okresie utraty przytomności), czuje się zdezorientowany i zaniepokojony, dopóki ktoś nie powie mu, jaki jest dzień i która jest godzina.

Żyjemy w siatce czasoprzestrzennej i inaczej nie jesteśmy w stanie postrzegać i poznawać otaczającego świata i naszego własnego życia. Subiektywne poczucie upływu czasu jest oczywiście różne. Dzieciom czas biegnie wolniej, dlatego też mogą często odczuwać nudę i rozdrażnienie, o czym wie dobrze każdy rodzic i nauczyciel. Doświadczenie dorosłych jest zgoła odmienne. W odczuciu ludzi aktywnych w miarę upływu lat kartki spadają z kalendarza z coraz większą szybkością, aż wreszcie, będąc już w bardzo podeszłym wieku, potrafią oni tylko ze zdumieniem pytać: „Kiedy to życie minęło?!”.

Rytuały związane z końcem starego i początkiem nowego roku są zazwyczaj dobrą okazją, by mocniej uświadomić sobie upływ czasu. I chociaż w nocy z 31 grudnia starego na 1 stycznia nowego roku nic radykalnie się nie zmienia, to jednak człowiek ma poczucie świeżości i tego, że zostaje mu podarowany nowy czas. I że jest go wystarczająco dużo, by móc się nim nacieszyć i niejako rozpocząć swoje życie od nowa.

Właściwa człowiekowi zdolność do zapamiętywania i przekazywania informacji o minionych słowach i wydarzeniach sprawia, że tworzy się historia, która nie bez powodu określana jest jako nauczycielka narodów. Jej znajomość jest istotnym elementem tożsamości osobowej, a ta z kolei jest nieodzownym czynnikiem psychicznej stabilności i poczucia sensu

życia. Bóg konsekwentnie respektuje czasoprzestrzenną siatkę, w której działa świadomość człowieka. Ludzkie poznanie Boga też dokonuje się nie inaczej, jak tylko w czasie. To, co człowiek wie o Bogu, pochodzi z jednej strony z intuicji, która mniej czy bardziej rodzi się w każdym ludzkim sercu, a jej nagromadzenie w postaci doświadczeń, opowieści, zwyczajów, rytuałów i kultów jest nie tylko przekazywane z pokolenia na pokolenie, ale także zostaje ubogacone i skorygowane w miarę upływu wieków. Z drugiej jednak strony Boga można ostatecznie poznać jedynie dzięki Jego samoobjawieniu się. Również ono dokonuje się jednak w czasie. Biblia nie jest podręcznikiem pełnym definicji, ale zestawem wielu historii, które tworzą historię zbawienia. Bóg objawia się w czasie i poprzez wydarzenia, które dokonują się w czasie. Bóg sam wchodzi w czas w Jezusie Chrystusie, który w swojej ludzkiej naturze podlega czasowi: poczyną się, rodzi i wzrasta i jak każda inna istota ludzka podlega czasowi. I chociaż objawienie się Boga poprzez Słowo Wcielone dokonało się raz na zawsze, to jednak jego pogłębione zrozumienie znowu wymaga czasu. Kościół – wspólnota ludzi skierowanych ku Ojcu przez Chrystusa w Duchu Świętym, wzrasta w rozumieniu Bożego objawienia. Jak wraz z upływem stuleci rozwija się ludzka wiedza o świecie, a wraz z nią ewoluuje ludzka kultura, tak też rozwija się teologia i duchowość chrześcijańska. Chrześcijańskiej teologii nie da się właściwie uprawiać bez znajomości historii, a więc bez spojrzenia na czas, który upłynął; na gromadzoną przez wieki refleksję nad słowem Bożym i na duchowe doświadczenie Bożej obecności.

To co dzieje się w historii Kościoła, wydarza się w mikroskali także w historii pojedynczego wierzącego. By wiara pozostała żywa, nie może być po prostu zakonserwowana, przechowywana w jakiejś duchowej chłodziarce, w nadziei, że to uchroni ją przed przeterminowaniem. Musi się rozwijać w czasie, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Kluczowa jest świadomość tego, że podejmowane ciągle na nowo wysiłki, by pozostać wiernym codziennej osobistej modlitwie oraz niedzielnej Eucharystii, stanowią nieodzowny impuls do duchowego rozwoju. Sam upływ czasu nie daje jeszcze duchowego wzrostu. Dany przez Boga czas trzeba świadomie przyjąć jako dar i szansę oraz zagospodarować go, pozostawiając wystarczająco wiele chwil na spotkanie się z Nim.

Istotnym elementem duchowego rozwoju jest podjęcie wysiłku, aby żyć świadomie, aby przyglądać się upływającemu czasowi. Dla wielu ludzi ilość bodźców zewnętrznych, jakie do siebie dopuszczają oraz prac, jakie podejmują, jest tak duża, że mają jedynie poczucie, iż czas pędzi w szalonym tempie, bez świadomości i smakowania wydarzeń, jakie stają się ich

udziałem. Dlatego tak istotna jest sztuka zatrzymania się w codzienności i refleksji nad tym, co się wydarzyło. Od wieków znana jest we wspólnotach chrześcijańskich praktyka rachunku sumienia na koniec dnia, która jest znakomitą narzędziem świadomego życia. Bez tej chwili wytchnienia i krótkiej refleksji nad dobrem, którego się dokonało i doświadczyło, ale także błędami i grzechami, które się popełniło, pojedyncze dni zbijają się w mglistą grudę i bezrefleksyjnie przemijają. Jeden dzień to wystarczająco krótki okres czasu, by móc ogarnąć go pamięcią, by niejako odtworzyć sobie film, w którym człowiek jest jednocześnie głównym aktorem i widzem. Taka refleksja na końcu dnia, który przechodzi do osobistej historii, pozwala świadomie przeżywać swoje życie; pozwala zamknąć to, co bezpowrotnie mija, również to, co człowiek zmuszony jest zaliczyć do swoich życiowych porażek. W ten sposób człowiek może przygotować się na to, co nadejdzie – za rok, za dzień, za chwilę – jeżeli tylko Bóg ofiaruje mu nowy czas, który będzie mógł wypełnić i przeżyć...

Luty 2022

Radykalizacja postaw czy radykalizm Ewangelii?

W swojej mistrzowskiej książce *Listy starego diabła do młodego* C. S. Lewis każe staremu, doświadczonemu diablowi odpowiedzieć na pytanie swojego młodego diabelskiego ucznia, czy w obliczu wojny (treść listów nawiązuje do czasu II wojny światowej) ma kusić człowieka do zagorzałego pacyfizmu, by ze wstrętem odrzucił wszelkie użycie broni wobec agresorów, czy też do skrajnego patriotyzmu, by był gotów walczyć z bronią w ręku za swoją ojczyznę aż do poświęcenia życia? Odpowiedź starego kusiciela jest zaskakująca: w zasadzie jest rzeczą obojętną, czy człowiek będzie kuszony do pacyfizmu czy też do patriotyzmu. Ważne jedynie, by pacyfizm (lub patriotyzm) stał się dla niego sprawą najważniejszą. Najpierw trzeba go przekonać, że wybrana przez niego wartość jest ważnym składnikiem jego religii. Potem – że jest najważniejszym jej składnikiem. A wreszcie, że religia pełni wobec niego rolę podrzędną i jest jedynie dostarczycielką argumentów za jednym czy drugim. Ważna jest taka radykalizacja ludzkich postaw, która oślepi na wszelkie inne argumenty. „Skoro raz uczynisz Świat celem, a wiarę środkiem do celu, to niemal zdobyłeś już swego człowieka, a to, jakiego rodzaju światowy cel sobie obrał, nie ma już większego znaczenia” – konkluduje stary kusiciel. Z

właściwym sobie angielskim humorem Lewis mistrzowsko pokazał, czym kończy się źle rozumiany radykalizm.

Radykalizm postaw stał się niemal cechą rozpoznawczą ludzi XXI w. Czas pandemii ujawnił, a czasami w drastyczny sposób wzmocnił i spopularyzował takie postawy. Wiąże się to również z upowszechnieniem mediów społecznościowych. Pozwalają one na to, aby każdy mógł stać się kimś w rodzaju społecznego i politycznego komentatora, byle tylko jego poglądy były wystarczające radykalne i wyrażone z mocnym emocjonalnym akompaniamentem. Ograniczona objętość przekazów internetowych sprawia, że prezentowane wypowiedzi upraszczają rzeczywistość, są jednostronne i przejawione, a emocjonalne reakcje na nie jedynie jeszcze bardziej radykalizują ich autorów. Nie ma tu miejsca na niuanse, bo w takich internetowych potyczkach, by użyć języka wojennego, nie bierze się jeńców. Jest w nich tylko jedna alternatywa: zniszczyć drugiego lub zostać przez niego zniszczonym lub też – jak to się wyraża w języku internautów – zaorać kogoś albo zostać przez niego zaorany. Smutne jest to, że w wielu takich internetowych kłótniach nie brak odwołań do Ewangelii, Chrystusa, Kościoła i jego nauki, tradycji i kultury chrześcijańskiej. Przywoływanie tych wielkich słów i wartości ma nadać poglądom wyklócających się internautów wagę ponadczasowych prawd, ważniejszych od prawdziwych dogmatów wiary. Każdy kto przywołuje Chrystusowe nakazy miłości i szacunku jest postrzegany jako pięknoduch, który zamiast bronić honoru Chrystusa i Kościoła zaczyna dzielić włos na czworo.

Być może u podstaw takich słownych potyczek tkwi uzasadnione oburzenie na złośliwe i pełne pogardy i nienawiści wobec wiary i Kościoła wpisy innych internautów. Każdy wierzący w Chrystusa wie, że jest wezwany do radykalnego zdania się na Boga. I tu tkwi ziarno prawdy wszelkich emocjonalnych reakcji broniących wiary i Kościoła. Jednak czy takie reakcje mogą zostać określone jako ewangeliczny radykalizm? Nie ulega wątpliwości, że chociaż pojęcie to nie występuje w Ewangeliach, to jednak nie brak w nich wezwań do zdecydowanego wyboru Chrystusa oraz ostrzeżeń przed połowicznością i stania okrakiem między dobrem a złem. Sam Jezus opisał swoje nauczanie jako miecz, który rozdziela dobro od zła, a to może „poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową” (Mt 10, 35).

Jednak gdy w obronie prawdziwych wartości, w dobrej wierze i pod wpływem słusznego oburzenia chrześcijanie zaczynają sięgać po środki, jakie należą do arsenału Złego, a więc po pogardę, szyderstwo, obmowę, oszczerstwo i nienawiść, to powinny im zadzwonić wszystkie dzwonki alarmowe. Jedną z podstawowych prawd chrześcijańskiej moralności brzmi

przecież: dobry cel nigdy nie uświęca złych środków. Owszem, środki takie bywają na pierwszy rzut oka skuteczniejsze, niż te, którymi posługuje się Chrystus. Jednak sięgając po nie, chrześcijanie dobrowolnie wchodzą w rolę, jaką dla nich napisał kusiciel: stają się kolejnymi ogniwami w łańcuchu nienawiści, jaki coraz szczelniej oplata ludzkie relacje i ludzką społeczność.

Radykalizm ewangeliczny jest zupełnie inny. Jego znaczenie odśłania się w świetle podstawowego znaczenia pojęcia *radix*, od którego słowo „radykalizm” pochodzi. Łacińskie słowo *radix* oznacza po prostu korzeń, a w znaczeniu przenośnym – podstawa, rdzeń. Człowiek ewangelicznie radykalny to przede wszystkim ktoś, kto sam dokonał w swoim życiu radykalnego wyboru Chrystusa jako swojego Pana i Zbawcę, a przez to zakorzenił się w Nim. Nie tylko słowną deklaracją, ale myślą, wolą i postępowaniem. Efektem takiego zakorzenienia będzie przede wszystkim radykalizm miłości, który sięga aż po gotowość do przebaczenia oraz pragnienie dostrzegania dobra, gdziekolwiek się ono pojawi.

Ewangeliczny radykalizm to także postawa, która nie zadowala się pozorami, ale sięga do korzeni, tzn. do całej prawdy o świecie i człowieku. Kto tak patrzy na wydarzenia, jakie mają miejsce w świecie, dostrzeże w nich nie tylko polityczne hasła i medialne manipulacje, ale także osobiste dramaty i rozdarcie tych, którzy są głównymi bohaterami wydarzeń i autorami manipulacji. Wraz z tym głębokim spojrzeniem komuś radykalnie ewangelicznemu pokazuje się zawsze także nagła potrzeba modlitwy za takich ludzi.

Takie nastawienie chrześcijan może sprawić, że przestaną uczestniczyć w internetowych przepychankach. Czy Ewangelia Chrystusa by na tym nie ucierpiała, czy wręcz przeciwnie – stała się jeszcze bardziej wyrazista?

Marzec 2022

Bomby spadają na Ukrainę

Niewielu obserwatorów spodziewało się, że koncentracja wojsk rosyjskich u granic Ukrainy doprowadzi do faktycznej inwazji i w efekcie – do wojny. Ci, którzy przed nią ostrzegali, byli traktowani jako panikarze, którzy nie rozumieją, jak wytrwanym graczem jest Vladimir Putin i jak mało prawdopodobne jest to, by chciał zepchnąć swój kraj w brutalną i krwawą

wojnę. Zaskoczone jest jednak także dowództwo rosyjskie, gdyż – jeśli tylko wierzyć docierającym informacjom – rosyjskie wojsko, mimo miażdżącej przewagi liczebnej, ponosi poważne straty, zarówno rzeczowe, jak i personalne. Cóż jednak znaczą te polityczne lub wojskowe kalkulacje i prognozy, wobec tragedii zwykłych ludzi, którzy giną lub też uciekają przed brutalną przemocą? Trudno o chłodną analizę w sytuacji, gdy codziennie pod bombami giną cywile, w tym także dzieci. Mimo to warto się jednak pokusić o kilka uwag na temat tej tragicznej sytuacji, w której znalazła się Europa u początku trzeciej dekady XXI wieku.

Pierwsza uwaga dotyczy czegoś, co można by określić jako demoniczny rys każdej wojny najeźdźczej. Każda taka wojna rozpętuje spiralę przemocy, która zdaje się nie mieć żadnej miary. Jako demoniczne można także określić postępowanie kogoś, kto rozpoczyna wojnę, z której nie może wyjść zwycięsko, depcząc przy tym wszelkie porozumienia i gwarancje w imię własnej racji i sprawiając, że jego współobywatele są odtąd traktowani jako najeźdźcy. Jednak wojna najeźdźcza w dzisiejszej rzeczywistości ma na celu nie tylko podporządkowanie sobie innego niepodległego kraju, ale musi doprowadzić do daleko idącej destabilizacji całego świata i wywołać problemy gospodarcze i chaos finansowy. Biorąc pod uwagę to, jak ściśle są ze sobą powiązane łańcuchy dostaw i jak bardzo zależne od siebie są gospodarki i systemy finansowe społeczeństw wysoko rozwiniętych, nie ulega wątpliwości, że taki jest właśnie jeden ze strategicznych celów prezydenta Putina. Jednak wywołanie takiego chaosu oznacza, że wszystkie te problemy dotkną także Rosję, a więc przede wszystkim zwykłych obywateli tego kraju – i to być może na całe dziesięciolecia. I tu ujawnia się szczególnie demoniczny rys tej wojny: gotowość do zniszczenia wszystkich sprzeciwiających się woli najeźdźcy, włącznie ze zniszczeniem własnego narodu, nieliczenie się z życiem żołnierzy i cywilów obcych i własnych, i traktowanie ich jak mięsa armatniego, jako środki do osiągnięcia własnych celów.

Drugi aspekt wiąże się z faktem, że każda wojna ma swoją prehistorię. Ludzi gotowi wywołać takie wyniszczające wojny nie pojawiają się nagle i znikąd. Wielu obserwatorów rozwoju sytuacji na Ukrainie zadaje uprawnione pytanie: Skąd to zaskoczenie zachodniego świata, skoro przez dziesięciolecia przyamykano oczy na poczynania rosyjskiego prezydenta i brutalną przemoc, jaką wielokrotnie okazywał, np. w Czeczeni, Gruzji czy też na Krymie? Dzisiejszy dramat jest pokłosiem nie tylko pasywności, ale wręcz zimnej kalkulacji tych, którzy w porę nie sprzeciwili się tym zapędom. Z pewnym uproszczeniem, ale nie bez racji, można stwierdzić, że to partnerzy z krajów bogatych Zachodu, przez lukratywne i coraz ściślejsze związki ekonomiczne z Rosją, zbudowali potęgę Putina i uzależnili się od dostaw rosyjskich

surowców energetycznych. Jak dalece sięgały te powiązania, pokazała początkowo niezwykle powściągliwa reakcja niektórych krajów, szczególnie Niemiec, na rozpoczęcie agresji na Ukrainę. Fatalne początkowe wrażenie zostało dopiero osłabione, gdy udało się uchwalić sankcje wobec Rosji. Jednak dumnie propagowany wizerunek Unii Europejskiej jako „głosu” wolnego świata, który gotów jest stawać w obronie podstawowych praw człowieka, gdziekolwiek na świecie są one łamane, po raz kolejny okazał się pustą wyduszką.

I wreszcie trzeci aspekt, dotyczący już bezpośrednio Polski. Świat podziwia Polskę za zdecydowanie w sprzecznie wobec rosyjskiej agresji i gotowość przyjęcia uchodźców. Kiedy powstaje ten felieton, polską granicę przekroczył już ponad milion obywateli ukraińskich, w większości kobiet i dzieci. Część obserwatorów dziwi się, skąd obecnie w Polakach taka gotowość do pomocy obcym, skoro jeszcze przed kilkoma miesiącami tak ostro wzbraniali się przed przyjęciem innych obcych z terenu Białorusi? Odpowiedź jest prosta: Polacy potrafią odróżniać uchodźców od migrantów. Ci pierwsi uciekają do najbliższego spokojnego kraju, by ocalić swoje życie; ci drudzy – przemierzają tysiące kilometrów w poszukiwaniu lepszego życia. Oczywiście, że zarówno jedni, jak i drudzy mają prawo do decyzji o opuszczeniu swojej ojczyzny. Jednak zobowiązanie moralne, jakie wobec każdej z tych grup spoczywa na innych narodach, państwach i obywatelach, nie jest takie samo. Istnieje ścisły obowiązek pomocy tym pierwszym ze względu na zagrożenie życia i brak alternatywy. Tym drugim powinno się także pomagać, jednak na miarę możliwości, biorąc pod uwagę sytuację społeczeństw, do których się udają i dodatkowe aspekty, dotyczące skutków migracji.

Kiedykolwiek i jakkolwiek zakończy się ta wojna, straty będą niepomierne. Szczególnie dla Ukrainy, która wykrwawi się personalnie i ekonomicznie, ale także dla całej Europy, a szczególnie dla Rosji. Chaos gospodarczy, związany także z wcześniejszym osłabieniem gospodarek przez ponad dwuletni czas pandemii wraz z jej poważnymi kosztami i kolapsem wielu sektorów gospodarki, musi doprowadzić do zubożenia szerokich warstw ludności, a tym samym także do napięć społecznych. Należy mieć nadzieję, że polskie społeczeństwo, które nie tylko nie zawiodło swoich sąsiadów w pierwszej potrzebie, ale hojnie otworzyło swoje serca i domy dla uchodźców z Ukrainy, wytrzyma ciężar tej sytuacji także w dalszej perspektywie. Wtedy mianowicie, gdy przyjdzie dźwigać ciężary ekonomiczne i ograniczenia związane z obniżeniem poziomu życia i dzielić się tym, co niezbędne z dziesiątkami tysięcy Ukraińców, którzy zapewne na miesiące, lata a może nawet na zawsze pozostaną w naszym kraju.

Czy istnieje wojna sprawiedliwa?

Tegoroczna Wielkanoc jest przeżywana przez wielu Polaków w cieniu rosyjskiej napaści na Ukrainę. Obecność uchodźców, którzy znaleźli schronienie w wielu polskich rodzinach, potęguje jeszcze poczucie solidarności i współczucia. Do opinii publicznej docierają szczegóły okrucieństw dokonywanych przez rosyjskich okupantów na bezbronnych cywilach, jak te, które miały miejsce w Buczy. Kiedy widzi się obrazy zamęczonych ciał, w sercu niemalże automatycznie pojawia się gniew na oprawców i zrozumienie dla pragnienia odwetu. Słyszac w takim nastroju nawoływania do wyrzeczenia się ducha zemsty, człowiek zaczyna się gniewać również na formułujących takie opinie, podejrzewając, że stanowią one jedynie próbę rozmywania prawdy o tym, kto tu jest oprawcą, a kto ofiarą. Jednak ostatecznie, gdy będzie już można patrzeć na te wydarzenia z dalszej perspektywy i bez gwałtownych emocji, pozostanie ta sama prawda, która sprawdza się w odniesieniu do wszystkich wojen: trwały pokój może zostać zbudowany jedynie na pojednaniu, a nienawiść niszczy w pierwszym rzędzie nie tych, ku którym się zwraca, ale tych, którzy ją w swoich sercach pielęgnują. Czy jednak oznacza to, że Ukraińcy powinni w imię pokoju i pojednania zaprzestać oporu i pozwolić się ujarzmić imperialnej Rosji? Nie, to byłby całkowicie błędny wniosek. Jak więc podejść do tej wojny w duchu chrześcijańskim?

Stanowisko katolickiej nauki społecznej wobec wojny zostało krótko, ale bardzo trafnie ujęte w *Katechizmie Kościoła Katolickiego* w numerach 2302-2317. Zbrodniczy gniew i nienawiść, które są zarzewiem każdej wojny, zostały tu określone jako niemoralne. Odnosi się to przede wszystkim do agresorów, którzy niszczą pokój i łamią istotne przykazanie Dekalogu „Nie zabijaj!” Dlatego troska o pokój, a także o jego niezbędne warunki, do których należy ochrona dóbr osoby ludzkiej oraz poszanowanie godności osób i narodów, stanowi poważny moralny obowiązek każdego chrześcijanina. Kościół stara się czynić wszystko, co możliwe, by zapobiegać wojnom i nawoływać do pokoju. Wyrzeczenie się ducha zemsty i nienawiści nie oznacza jednak absolutnego pacyfizmu. Prawdą jest, że w najnowszym nauczaniu Kościoła zrezygnowano z dawnego pojęcia „wojny sprawiedliwej”. Było to spowodowane m.in. rozwojem techniki wojennej. W obliczu destrukcyjnego potencjału dostępnej dzisiaj broni,

każda, nawet najbardziej lokalna konfrontacja między państwami, bardzo szybko rozlewa się na sąsiednie regiony i staje się konfliktem globalnym. W sytuacji ścisłego powiązania komunikacyjnego i ekonomicznego współczesnych państw, trudne do spełnienia stało się wypełnienie jednego z podstawowych warunków dawnej „teorii wojny sprawiedliwej”, jakim jest uzasadnione prawdopodobieństwo, że przystąpienie do takiej wojny nie pociągnie za sobą jeszcze gorszych skutków, niż te, którym przystępując do wojny zamierzano zapobiec. Jednak głównym powodem zdystansowania się Kościoła do dawnej teorii wojny sprawiedliwej są doświadczenia ubiegłego stulecia. Pokazują one, że wojna nigdy nie będzie sprawiedliwym środkiem walki o słuszne i dobre sprawy, a jej bezpośrednie i dalekosiężne skutki są zawsze tragiczne.

Chociaż Kościół nie mówi już o wojnie sprawiedliwej, nadal jednak używa pojęcia prawa do „koniecznej obrony”, którego nie można odmówić rządów krajów zaatakowanych, jeżeli tylko wyczerpane zostaną środki rokowań pokojowych. Zarówno w wymiarze osobistym, jak i społecznym, napadniętemu wolno się bronić przed niesprawiedliwym agresorem. Skoro istnieje prawo do uzasadnionej obrony, musi istnieć prawo do użycia odpowiednich po temu środków, a więc prawo do użycia adekwatnej broni. Owszem, pojedyncza osoba może w stosunku do siebie samej ze względu na swoje sumienie podjąć decyzję o rezygnacji ze zbrojnego oporu. Jednak już w odniesieniu do innych osób, za które jest odpowiedzialna, nie może zwolnić się z moralnego obowiązku ich ochrony. Obowiązkowi temu można oczywiście zadośćuczynić w różny sposób, angażując się w działania obronne nawet wtedy, gdy ktoś ze względu na sumienie nie chce sięgać po broń. Uprawniona obrona z użyciem siły militarnej musi zgodnie z nauką Kościoła katolickiego spełniać warunki, które kiedyś wiązano z pojęciem wojny sprawiedliwej: szkoda wyrządzona przez napastnika musi być długotrwała, poważna i niezaprzeczalna, muszą zostać wyczerpane środki pokojowych rokowań, musi istnieć uzasadniona perspektywa powodzenia takiej obrony oraz użycie broni nie może prowadzić do jeszcze większego zła.

Jest jeszcze jeden szczegół w katolickim stanowisku wobec wojny, który warto zauważyć. W *Katechizmie* sformułowano go tak: „Gdyby na nieszczęście już do wojny doszło, nie wszystko tym samym staje się między walczącymi stronami dopuszczalne” (KKK nr 2312). W tym enigmatycznym zdaniu zawarto dawne rozróżnienie między *ius ad bellum* (prawo do wojny) a *ius in bello* (prawo w czasie wojny). Doświadczenie dawnych i nowych wojen pokazuje, że żołnierze po różnych stronach konfliktu zachowują się czasem tak, jakby udział w

wojnie, którą uważają za uzasadnioną, zwalniał ich od przestrzegania jakichkolwiek norm moralnych. W takiej sytuacji szybko ujawniają się najgorsze ludzkie instynkty i ludzie stają się bestiami, które znęcają się, torturują, mordują, gwałcą i popełniają najgorsze zbrodnie wobec cywilów i wziętych do niewoli żołnierzy wroga. Chociaż jednym z czynników popychających ludzi do takich zbrodni jest poczucie bezkarności i przekonanie, że zwycięzcy nie będą sądzeni, prędzej czy później sprawcy będą musieli odpowiedzieć za swoje zbrodnie. Żaden trybunał świata nie może zwolnić kogokolwiek, niezależnie po jakiej stronie konfliktu stoi, od odpowiedzialności moralnej i prawnej za takie czyny. W toczącym się konflikcie na Ukrainie żołnierze rosyjscy okryli się hańbą dokonywania tego rodzaju okrucieństw. Niechlubnym symbolem bestialstwa Rosjan pozostaną zbrodnie dokonane na cywilach w Buczy. Należy ufać i modlić się, aby uzasadnione poczucie ukraińskich obrońców, że biorą udział jak najbardziej uzasadnionej batalii obronnej oraz że broniąc swojej niepodległości oraz swoich rodzin, spełniają szczytny moralny obowiązek, nigdy nie przekształci się w nienawiść wobec wroga popychającą do odpowiadaniem bestialstwem na bestialstwo i okrucieństwem za okrucieństwo. To stanowi najbardziej toksyczny, dalekosiężny skutek każdej wojny, który nie tylko zatruwa ludzkie serca na pokolenia, ale – pielęgnowany i podsycany przez nieprzerwany łańcuch krzywdy i zemsty – stanowi zarzewie nowych wojen.

Maj 2022

O wytrwałości i długomyślności

Człowiek ma niezwykłą zdolność do przyzwyczajania się. Pokazuje się ona w szczególnie sposób wtedy, gdy okoliczności życiowe zmieniają się nagle na mniej pomyślne lub nawet dramatyczne. Po pierwszym szoku i zamęcie bardzo szybko pojawia się nowa normalizacja, a to, co jeszcze niedawno wydawało się zupełnie nie do zniesienia, zostaje na tyle wpisane w samoświadomość, że staje się częścią codzienności i już tak nie szokuje. Tak było w czasie pandemii, tak też jest w odniesieniu do wojny w Ukrainie. Chociaż krwawe walki toczą się nadal i nadal giną tam ludzie, to jednak w Polsce życie zaczyna się znowu toczyć normalnie. Dotyczy to nie tylko Polaków, ale – przynajmniej w części – także uchodźców z Ukrainy, szczególnie tych, których najbliżsi nie są bezpośrednio zaangażowani w działania wojenne lub

znajdują się poza aktualnymi obszarami, na których toczy się wojna. Siła przyzwyczajenia nie na darmo bywa określana jako „druga natura”. Jest w tej umiejętności integrowania rzeczy trudnych w swoją codzienność jakaś naturalna zdolność osoby ludzkiej. Psychika ludzka nie mogłaby po prostu nieustannie żyć na zbyt wysokich obrotach. Gdyby tak było, wcześniej czy później załamanie nerwowe byłoby nieuchronnie. Jednak obok pozytywnego aspektu, jest w tej tendencji do przyzwyczajania się do tego, co trudne, także aspekt negatywny. Jest nim zubożenie.

Otwarcie serc i domów dla wojennych uchodźców z Ukrainy przez setki tysięcy polskich rodzin i instytucji było rzeczywiście fenomenem, który zdumiał świat. Dzięki temu udało się także zapobiec, przynajmniej w znacznej części, humanitarnej katastrofie, którą nieuchronnie pociągnęłaby za sobą także ta wojna. Na razie wydaje się, że w większości przypadków to otwarcie na gości z Ukrainy trwa. Zawsze w takich masowych migracjach pojawiają się jednak pojedyncze przykłady egocentrycznych postaw ze strony gospodarzy, ale także roszczeniowych postaw ze strony gości. Jednak, jak na razie, są to wypadki na tyle wyjątkowe, że nie unieważniają tego pozytywnego wrażenia, jakie dominuje. Ogólna ocena pozostaje: w pierwszym dniach i tygodniach tej wojny Polacy zdali egzamin z solidarności. Aby mimo zmęczenia i zniecierpliwienia przedłużającą się sytuacją kryzysową tak mogło pozostać, potrzebna jest jednak dodatkowa motywacja. Może ona także płynąć z wiary.

We fragmentach Ewangelii Janowej, w których Jezus mówi o swoim nowym przykazaniu, o przykazaniu wzajemnej miłości, wielokrotnie pojawia się także wezwanie do wytrwałości. Postawa miłość bliźniego może mieć w sobie wprawdzie spory ładunek emocjonalny i taki ładunek współczucia i serdeczności rzeczywiście towarzyszył aktywności Polaków na rzecz uchodźców wojennych z Ukrainy. Jednak emocje to nie wszystko. Prawdziwa miłość bliźniego to nie jest jednorazowy zryw, ale wytrwała i długotrwała postawa, oparta o wielokrotnie ponawianą decyzję woli o gotowości okazania pomocy potrzebującym. Dlatego Jezus zaprasza do wytrwałości: „Jak mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowalem. Trwajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej [...]. To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, jak ja Was umiłowalem” (J 15, 9-10. 12). Prawdziwa miłość bliźniego idzie zawsze w parze z wytrwałością, a ta – z cierpliwością, gotowością do znoszenia przeciwności, a także z postawą, którą tradycja katolicka określa jako długomyślność. Według św. Tomasza z Akwinu te cnoty (czyli stałe postawy) należą do kardynalnej cnoty męstwa. Kto je posiada, potrafi panować nad

zniechęceniem i nie będzie się szybko cofał przed przeszkodami w realizacji zamierzonego dobra. Cnoty te nie tylko zapobiegają temu, że opanuje człowieka smutek i zniechęcenie, ale także podtrzymują gotowość do tego, by aktywnie mierzyć się z trudnościami.

Dopiero z takim nastawieniem pomoc świadczona bliźnim, w tym przypadku szczególnie uchodźcom z Ukrainy, będzie nie tylko emocjonalna, ale także skuteczna, nie tylko hojna, ale i roztropna, nie tylko chwilowa, ale i długotrwała. Być może to właśnie może być cennym, chociaż nie zamierzonym darem tych ludzi dla nas: ich obecność z jednej strony pokazuje nam braki w naszej moralnej motywacji, z drugiej zaś skłania nas do tego, byśmy starali się im zaradzić. Swój charakter można wprawdzie kształtować poprzez to, że człowiek sam określa i podejmuje zadania do wykonania i je konsekwentnie realizuje. Jednak takie podejście ma pewną wadę: człowiek skłania się ku temu, by „skroić” sobie warunki pracy nad sobą na swoją własną miarę. Dopiero to, co przynosi realne życie, czyli to, co nie jest od nas zależne i nie zostało przez nas zaplanowane, a co dodatkowo zaburza nasze utarte zwyczaje i styl życia, konfrontuje nas z naszymi prawdziwymi motywacjami i stanem naszego wnętrza. Właśnie w takiej sytuacji, jak ta obecna, możemy dowiedzieć się prawdy o sobie, o tym, jacy naprawdę jesteśmy i o naszej sile woli. To życie codzienne wyznacza prawdziwie ważne zadania do wykonania i stwarza przeszkody, które należy pokonać. Właśnie w taki sposób powstaje Boży człowiek

Czerwiec 2022

Moc z wysoka

Coroczna uroczystość Zesłania Ducha Świętego jest czasami określana po prostu jako zakończenie okresu wielkanocnego w liturgii. Jednak warto sobie zdać sprawę z centralnego miejsca, jakie w życiu każdego ucznia Chrystusa musi zająć Osoba Ducha Świętego. Od tego zależy nie tylko świeżość wiary, ale to, czy jest ona w ogóle obecna w życiu człowieka i czy kształtuje to życie. Jeżeli prawdą jest, że „nikt [...] nie może powiedzieć bez pomocy Ducha Świętego: «Panem jest Jezus»” (1 Kor 12, 3b), to oznacza to, że żywa wiara w Jezusa jest możliwa jedynie wtedy, gdy wierzący otwiera się na dar Bożego Ducha. To prawda, że – jak mówi Jezus w Ewangelii Janowej – „Duch wieje kędy chce” (J 3, 8). I dlatego wszędzie tam,

gdzie pojawia się w świecie prawdziwe dobro, nawet jeśli jest dokonywane przez ludzi niewierzących, jest ona znakiem ukrytego działania Ducha Świętego. Jednak pełnia Jego mocy odsłania się dopiero wtedy, gdy zostanie On świadomie przyjęty i gdy człowiek staje się pozwala Mu działać.

Jak działa Duch Święty? Niekiedy ludzie wierzący w bardzo uproszczony sposób odnoszą się do tego działania, jakby był to po prostu rodzaj nadprzyrodzonej siły, która usuwa z drogi przeszkody w realizacji ludzkich planów lub też uzupełnia braki (np. wiedzy) w sytuacjach, gdy jest ona potrzebna. Dlatego warto sobie uzmystowić raz jeszcze, że Duch Święty:

- 1) *nie tylko pociesza, ale przede wszystkim umacnia*. Wydaje się to oczywiste, jednak słowo „pociecha” bywa zbyt często utożsamiane z przytuleniem lub też poklepaniem po ramieniu – czyli z gestami, za pomocą których ludzie próbują sobie dodać otuchy w trudnych życiowych sytuacjach. I czasem rzeczywiście płynie stąd jakaś pociecha, jednak nierzadko to „Nie martw się! Jakoś to będzie...” jest jedynie wyrazem bezradności pocieszyciela i bardziej, niż pomaga, irytuje pocieszanego. Duch Święty nie jest takim pocieszycielem. On jest „Mocą z wysoka” (Łk 24, 49). Jezus mówi o jego działaniu jako o „przyodzianiu” człowieka mocą Bożą. W polskich tłumaczeniach mowa jest tu o „uzbrojeniu” Mocą z wysoka i jest to bardzo dobra intuicja. „Przyodzianie” Duchem Świętym nie odnosi się bowiem do urody wnętrza człowieka, ale do wyposażenia go we wszystko, co jest potrzebne do dobrego życia, które wiedzie ostatecznie do wiecznego szczęścia.
- 2) *nie spełnia wszystkich naszych życzeń, ale zaspokaja wszystkie nasze prawdziwe potrzeby*. Duch święty nie jest od tego, by usuwać przeszkody, jakie człowiek napotyka na drodze realizacji własnych planów. Nierzadko jest jednak właśnie tak traktowany. Nastawienie człowieka można by wtedy zawrzeć w słowach: „Ja mam wspaniały scenariusz, a Ty, Duchu Święty, masz moc. Więc spraw, aby ten mój wspaniały scenariusz się ziścił”. Przy takim nastawieniu głębokie rozczarowanie człowieka jest nieuchronne i jest tylko kwestią czasu. Bo Duch Święty nie będzie po prostu spełniał ludzkich życzeń. Czasami wręcz pozwoli na fiasko ludzkich planów, bo rezultat ich powodzenia mógłby się w ostatecznym rozrachunku okazać fatalny dla tego, co w życiu człowieka najważniejsze. Dla Bożego Ducha istotne są wszystkie

prawdziwe potrzeby człowieka, także te z pozoru bardzo banalne. Ale zaspokajanie potrzeb nie musi oznaczać spełniania życzeń.

- 3) *oczekuje od człowieka zarówno zdrowego rozsądku, jak i wrażliwości na Boże natchnienia*. Obydwa źródła poznania duchowego, dzięki którym człowiek zdaje sobie sprawę ze swojej życiowej sytuacji, są niezmiernie ważne. I żadne z nich nie zastępuje drugiego, ale wzajemnie się dopełniają. Bóg nie po to stworzył ludzki rozum, wraz z wszystkimi jego zdolnościami, by potem pomniejszać jego znaczenie. Ale sam rozsądek nie wystarczy. Musi być oświecony przez wiarę i ufność w Boże prowadzenie. Znalezienie właściwego balansu między zdroworozsądkową oceną sytuacji życiowej a otwartością na Boże natchnienia i Boże znaki jest niełatwą, ale absolutnie niezbędną sztuką prawdziwie bogobojnego i udanego życia.
- 4) *nie zastępuje wiedzy, ale uczy i przypomina słowa Jezusa*. Tak mówił o Duchu Świętym sam Jezus: „On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałam” (J 14, 26). Te słowa wskazują najpierw, że do bycia chrześcijaninem należy uczenie się, czyli nabywanie nowych umiejętności i nowej wiedzy, a także uczenie się na własnych, czasami bolesnych, błędach. Chrześcijan nigdy nie jest kimś „gotowym”, kto już wszystko wie, ale kimś, kto nieustannie jest w drodze. Nie na darmo jednym z najważniejszych nowotestamentalnych określeń na człowieka wierzącego jest słowo „uczeń”. Duch Boży ma też coś wspólnego z pamięcią, jednak nie chodzi o wyostrenie naturalnej zdolności, ale o pamiętanie słów Jezusa, o przypominanie ich sobie w kluczowych momentach życia. W ten sposób słowo Jezusa może ujawniać w życiu osoby wierzącej całą swoją moc, kierować nim i kształtować charakter człowieka.

Dar Ducha Świętego, poważnie potraktowany i przyjęty otwartym sercem, daje człowiekowi nową jakość życia. Bez Bożego Ducha chrześcijaństwo szybko przekształca się w sztywny gorset, w którym prędzej czy później robi się człowiekowi za ciasno. Bez żywej obecności Ducha Świętego nie można wierzyć w Chrystusa, ale nie da się także szczęśliwie żyć. Dlatego też Zielone Świątki są uroczystością, która odsłania tajemnicę udanego życia.

Życie nienarodzonych ma znaczenie!

Nie ulega wątpliwości, że decyzja Sądu Najwyższego USA z 23 czerwca 2022 r. uchylająca precedens aborcyjny z 1973 roku, który w praktyce doprowadził do zalegalizowania aborcji na terenie całych Stanów Zjednoczonych, jest wydarzeniem historycznym. Sednem tej decyzji jest stwierdzenie, że konstytucja USA nie gwarantuje, jak wcześniej zakładano, prawa do aborcji. Ówczesny precedens, znany jako wyrok *Roe v. Wade*, opierał się, jak się później miało okazać, na nieprawdziwych i zmanipulowanych przesłankach. Był on, jak teraz stwierdziła większość sędziów Sądu Najwyższego, rażąco błędny. Pozywająca wówczas prawo federalne „Jane Roe” (w rzeczywistości Norma Leah McCorvey), pragnęła przerwać ciążę, twierdząc że jest ona wynikiem gwałtu. Wspierana przez prawniczki proaborcyjne, złożyła do Sądu Najwyższego skargę na niekonstytucyjność zakazu aborcji w USA. Po latach McCorvey przyznała, że rzekomy gwałt nie miał miejsca. Stała się nawet działaczką antyaborcyjną, domagającą się rewizji decyzji z 1973 r. Jednak przed swoją śmiercią w 2017 r. miała ponownie opowiedzieć się za aborcją.

Jak się można spodziewać, czerwcową decyzja Sądu Federalnego jest solą w oku środowisk proaborcyjnych, które nie tylko uważały powszechny dostęp do aborcji za współczesny niekwestionowany standard, ale starały się także wprowadzić do prawa międzynarodowego „prawo do aborcji”, które byłoby częścią niezbywalnych praw człowieka. Uchylenie precedensu prawnego z 1973 r. nie oznacza automatycznego zakazu aborcji we wszystkich stanach USA, ale daje każdemu z nich prawo do rewizji obowiązujących obecnie ustaw. Jeżeli w jakimś stanie aborcja zostanie zakazana lub ograniczona, nie będzie to już – jak dotychczas – traktowane jako niezgodne z prawem federalnym. Pierwszym stanem, który ogłosił zakaz aborcji jest stan Missouri. Natomiast rządzący w stanie Nowy York już zapowiedzieli, że ich teren stanie się azylem dla wszystkich kobiet, które będą chciały skorzystać z legalnej aborcji. Administracja prezydenta Bidena, który od samego początku swojej prezydentury popierał radykalne postulaty proaborcyjne, zapowiedziała działania na rzecz zapewnienia powszechnego prawa do aborcji na terenie całego kraju. Poza „turystyką aborcyjną”, planowane są kampanie na rzecz powszechnego dostępu do pigułek

wczesnoporonnych, które nie mogłyby być nigdzie zakazane, gdyż zostały dopuszczone jako „leki” przez Urząd ds. Żywności i Leków. Innym sposobem obejścia czerwcowej decyzji Sądu Najwyższego byłoby przeniesienie placówek w stanach zakazujących aborcję na znajdujące się na ich obszarze grunty federalne (takimi są np. parki narodowe).

Gwałtowne protesty, próby stworzenia mechanizmów obejścia decyzji Sądu Najwyższego, ale także wytwarzanie proaborcyjnej presji międzynarodowej, będą zapewne narastać. Wyrazem tego typu działań jest natychmiastowa krytyka decyzji Sądu Federalnego przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Pokazuje to, jak dalece ta niewątpliwie zasłużona organizacja, podobnie jak wiele innych instytucji międzynarodowych, została zdominowana przez środowiska skrajnej lewicy i jest obecnie często używana jako propagandowa tuba do promowania liberalnych roszczeń zmiany prawa i publicznej moralności. W argumentacji zwolenników aborcji nie pojawia się nigdy kwestia statusu moralnego ludzkiego płodu – dziecka poczętego, które, niezgodnie ze współczesną wiedzą medyczną, jest traktowane jako część ciała matki. Taki pogląd sprawia, że spór nie toczy się na poziomie fundamentalnego prawa do życia, ale jedynie w obszarze prawa kobiety do ochrony prywatności. Zakaz aborcji jest traktowany jako drastyczne naruszenie tego prawa, które gwarantuje konstytucja USA oraz wszystkie międzynarodowe konwencje praw człowieka. Zgodnie z takim poglądem zakaz aborcji stanowi – jak to stwierdzili w zdaniu odrębnym sędziowie Sądu Najwyższego, głosujący przeciwko czerwcowemu rozstrzygnięciu – naruszenie praw kobiet i ich statusu jako wolnych i równych obywateli.

Czerwcową decyzją Sądy Najwyższego USA pokazuje, że postępujące w świecie negowanie norm moralnych chroniących podstawowe dobra pojedynczego człowieka i całych społeczeństw (prawo do życia, prawa dziecka i prawa rodziny), nie jest procesem jednokierunkowym i nieuchronnym. To właśnie intensywnie propagowana wiara w nieuchronność „postępu”, jakim nazywany jest relatywizm moralny, sprawiła, że zaangażowanie na rzecz ochrony nienarodzonych stało się synonimem wstecznego konserwatyzmu oraz braku szacunku wobec kobiet. Osoby zaangażowane w ruchy *pro life* muszą się liczyć z takimi krzywdzącymi oskarżeniami. Tym większy szacunek należ się tym, którzy mimo wszystko angażują się w ochronę życia poczętego. Najnowsza decyzja Sądu Najwyższego USA jest właśnie owocem takiego zdecydowanego zaangażowania osób stowarzyszonych w ruchach *pro life*, których rozpowszechnienia i siły nie sposób nie łączyć z zaangażowaniem Jana Pawła II w ochronę dzieci poczętych. To właśnie w czasie jego

pontyfikatu ruchy *pro life* okrzepły i nabrały nowej dynamiki. Jego nauczanie dało im solidną bazę intelektualną, motywacyjną, ale także teologiczną, niezbędną do zmierzenia się z silnymi i wpływowymi organizacjami zwolenników aborcji. Co ciekawe, organizacje *pro life* w Stanach Zjednoczonych nie są wcale wyłącznie domeną katolików, ale skupiają obrońców życia należących do różnych denominacji chrześcijańskich, a nawet religii niechrześcijańskich. Efektem wielu lat tego wytrwałego zmagania jest mocny komunikat, nie tylko dla Ameryki, ale także całego świata, że znowu „życie nienarodzonych ma znaczenie” – *unborn lives matter*.

Sierpień 2022

Czy wiara powinna „funkcjonować”?

Wypadek, jakiemu w Chorwacji uległ polski autokar wiozący pielgrzymów zmierzających do Medjugorie, obył się szerokim medialnym echem. Trzyńście ofiar śmiertelnych – wśród nich kapłan i siostra zakonna – i ponad trzydzieścioro, w większości poważnie rannych, stanowią tragiczny bilans tego wydarzenia. Obok szoku i współczucia dla ofiar i ich rodzin, w mediach pojawiło się wiele szyderczych opinii ferowanych przez tych, dla których ten i podobne wypadki mają ostatecznie dowodzić, jak nieskuteczna i dlatego też zbędna jest wiara w Boga. Ich zdaniem dowodem prawdziwości wiary byłoby to, że „funkcjonuje” ona według przewidywalnych reguł: ci którzy zwracają się do Boga (także przez pośrednictwo Maryi i świętych), są chronieni od nieszczęść i chorób, natomiast wszyscy, którzy tego nie czynią, są na nie tym bardziej narażeni. Właśnie na takim rozumowaniu bazują wyrażane w Internecie szydercze opinie, że Maryja, wzywana jako Matka Nieustającej pomocy” właśnie „pomogła” swoim wyznawcom w tak okrutny sposób.

Z takimi szyderczymi głosami nie warto polemizować. Są one dowodem daleko posuniętej ignorancji co do tego, w co tak naprawdę wierzą katolicy. Mimo tego jednak wydarzenie to nie pozostaje bez wpływu także na wierzących. Stawia ich wobec konieczności ponownego przemyślenia i zrewidowania własnego podejścia do wiary. Dlaczego Bóg pozwolił na tą tragedię? Dlaczego dotknęła ona właśnie ludzi, udających się na pielgrzymkę do maryjnego sanktuarium, którzy być może chcieli właśnie w ten sposób prosić Boga o zdrowie,

ocalenie i pomyślność dla swoich rodzin? Jak ten wypadek ma się do przekonania zakorzenionego w żywej wierze w Boga, że wysłuchuje On prośb i chroni swoich wiernych?

Biblia zachęca wprowadzić do modlitwy błagalnej, dotyczącej także zwykłych, codziennych spraw: zachowania zdrowia i ocalenia życia. Nigdzie jednak nie ma w niej obietnicy, że wierzących – na zasadzie jakiejś nadprzyrodzonej konieczności – nie dotkną utrapienia życia doczesnego, które dotyczą innych ludzi. Takie oczekiwanie może pojawić się jedynie tam, gdzie obraz Boga jest skrzywiony i przypomina bardziej jakąś nadprzyrodzoną, magicznie działającą siłę, niż żywego Boga, jakiego ukazuje Biblia. W religijności magicznej centralnym elementem jest znajomość odpowiedniej formuły oraz wystarczająco obfity „wkład” wierzącego człowieka w postaci modlitw, ofiar i innych danin, co ma „uruchomić” boskie moce i automatycznie niejako zagwarantować przychyłność boskich mocy. Tego rodzaju wynaturzenia wiary pojawiają się także w niepogłębionej pobożności niektórych chrześcijan. W prawdziwej katolickiej wierze nastawienie jest jednak inne: modlitwa i ofiarowanie Bogu całego swojego życia zajmują wprowadzić także tu poczesne miejsce. Nie są to jednak formy wymuszenia na Bogu czegokolwiek, ale wyrazy zaufania do Niego w każdej życiowej sytuacji. Wiara polega na zaufaniu wobec Boga i powierzeniu Mu swojej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Wierzący dodaje zawsze do swoich prośb słowa: bądź wola Twoja, pozostawiając swój los całkowicie w ręku Boga, cokolwiek miałoby się wydarzyć. Nie usiłuje wymuszać na Bogu realizacji własnego scenariusza wydarzeń i nie obraża się na Niego, gdy sprawy przybierają inny obrót, niż oczekiwał.

Jest tu jeszcze jeden aspekt, na który warto zwrócić uwagę: jest nim stosunek do życia doczesnego. Katolicy są wprowadzić znani z aktywności zmierzającej do ochrony życia doczesnego od poczęcia do naturalnej śmierci. Jest ono wielką wartością, wartością podstawową i dlatego podlegającą najwyższej ochronie, ale jednocześnie – jak to ujął kiedyś Jan Paweł II – jest ono wartością *przedostateczną*. Ostateczną wartością jest życie wieczne i to właśnie ono jest też ostatecznym przedmiotem wiary. Ono jest zagwarantowane tym, którzy w wielkim zaufaniu zawierają siebie i swoich bliskich Bogu. I czynią to także wtedy, gdy ich najbliżsi zostają wyrwani z życia przez śmiertelne choroby czy nieszczęśliwe wypadki.

Katolik będzie oczywiście przeżywał w takiej osobistej sytuacji bolesny dramat, jak każdy inny człowiek. Być może w napływie bólu będzie zmagał się z Bogiem i kierował do Niego pełne wyrzutu pytania o sens tragicznych wydarzeń, które prowadzą do śmierci bliskich, o sens chorób, które dotyczą dzieci oraz o sens katastrof naturalnych, które demolują życiowe plany

wielu ludzi. Biblijna Księga Psalmów pełna jest psalmów skargi – tekstów będących krzykiem bólu skierowanym ku Bogu. To prawda: Bóg pozwala na to, że tragiczne wydarzenia mają miejsce. I wiara nie wyjaśnia powodu, dla którego tak się dzieje. Opisując nadciągające katastrofy, Jezu mówi jedynie: „Jeden będzie wzięty, drugi zostawiony” (Mt 24, 40). Sens tych wydarzeń zostanie odsłonięty dopiero wtedy, gdy człowiek będzie mógł spojrzeć na swoje życie i życie innych z perspektywy wieczności. Wiara zapewnia jedynie, że Bóg może dać człowiekowi o wiele więcej, niż doczesne życie i chwilowe powodzenie, niż zdrowie, sprawność i ziemską długowieczność. I właśnie to „więcej” stanowi przedmiot nadziei, jaką wierzący pokładają w Bogu.

Odpowiedź na zarzuty tych, którzy pytają, dlaczego wiara chrześcijańska nie „funkcjonuje”, jest zatem jasna: Prawdziwa wiara funkcjonuje zawsze, chociaż tego funkcjonowania nie należy mierzyć miarą doczesnego powodzenia. Wiara nie chroni przed przeciwnościami losu, nie zmienia ludzkiej kondycji człowieka wierzącego, która to kondycja pozostaje – jak u innych ludzi – słaba i narażona na zranienia. Wiara pozwala jednak w każdej sytuacji, także tej tragicznej, zachować ufność w to, że Bóg wie, co robi i jest w stanie przeprowadzić człowieka przez każdą ciemną dolinę, a ostatecznie doprowadzić do swojej szczęśliwej wieczności. Ta perspektywa pozwala także wobec tragicznych wydarzeń, jak wypadek pielgrzymów w Chorwacji, nie stracić zaufania do Boga.

Wrzesień 2022

Kto będzie kochał te dzieci?

Na kilka tygodni przed początkiem roku szkolnego 2022/2023 rozpętała się burza wokół podręcznika do nowego przedmiotu dla szkół ponadpodstawowych. Książka prof. Wojciecha Roszkowskiego zatytułowana „Historia i teraźniejszość” ma wypełnić lukę w nauczaniu historii. Od wielu już lat jedynie pobieżnie uczono w szkołach historii najnowszej, a więc historii powojennej, uwzględniającej czas głębokich przemian społeczno-kulturowych drugiej połowy XX w. Podręcznik ten wzbudził szczególnie ostry sprzeciw w środowiskach lewicowych i związanych z nimi mediach. Niezgodnie z obowiązującą obecnie poprawnością polityczną jego autor nie przedstawił bowiem historii najnowszej jako prostej konsekwencji

postępu technicznego i rzekomo nieuchronnych przemian cywilizacyjnych, ale ukazał znaczący wpływ na te procesy marksizmu kulturowego i związanego z nim, wdrażanego na skalę globalną lewicowego projektu ideowego przeobrażania społeczeństw. Trudno odmówić rzetelności prof. Roszkowskiemu, chociaż można oczywiście dyskutować z jedną czy drugą zamieszczoną w podręczniku tezą, a także ze stylem, za pomocą którego autor przedstawia historyczne fakty i ich ideowe tło.

Szczególnym punktem krytyki stały się zawarte w podręczniku stwierdzenia dotyczące prokreacji. Znajdują się one w rozdziale „Kultura i rodzina w oczach Zachodu”, w kontekście omawiania rewolucji seksualnej lat sześćdziesiątych XX w. oraz ekspansji ideologii gender. Jak stwierdza prof. Roszkowski, w ramach lansowanego modelu rodziny rozumianej jako dowolnie zdefiniowana grupa osób, nierzadko o tej samej płci, dzieci przychodzą na świat także w oderwaniu od naturalnego związku mężczyzny i kobiety, w laboratorium. Płodność oderwana od tego związku zostaje zdegradowana do rangi „produkcji ludzi, można powiedzieć hodowli”. W tym kontekście autor stawia retoryczne pytanie: „Kto będzie kochał wyprodukowane w ten sposób dzieci? Państwo, które bierze pod swoje skrzydła tego rodzaju «produkcję»?” (s. 225-226).

W tekście nie pada wprawdzie odniesienie do zapłodnienia in vitro, jednak właśnie tak został on zrozumiany. Krytycy zarzucili autorowi naruszenie godności dzieci poczętych in vitro przez określenie sposobu powołania ich do życia jako produkcji i hodowli oraz naruszenie godności ich rodziców poprzez zarzut braku miłości. Czy ta krytyka jest uzasadniona? Najpierw trzeba powiedzieć, że wzięwszy pod uwagę prowadzone już od wielu lat w laboratoriach, szczególnie na dalekim Wschodzie, prace nad skonstruowaniem sztucznej macicy, a także uzyskaniem zdolnych do życia embrionów w drodze klonowania lub też odpowiedniej hodowli komórek macierzystych, kontrowersyjne uwagi autora można uznać za trafne. Tego rodzaju eksperymenty, jeżeli byłyby prowadzone na ludzkich zarodkach, byłyby faktycznie niczym innym jak hodowlą ludzi, pozbawionych jakiegokolwiek odniesienia do rodziców, którzy mogliby ich kochać. Są one niczym innym, jak tylko efektem dalszego rozwoju technik zapłodnienia in vitro oraz zgody społeczeństw na ich szerokie zastosowanie.

Mimo tego trzeba uznać powyższy passus podręcznika za mocno niefortunny. Szczególnie odnosi się to do retorycznego pytania zadanego przez autora. Kto będzie kochał dzieci powstałe wskutek różnego rodzaju procedur biotechnologicznych? Przede wszystkim będzie je kochał Bóg, który kocha je już od pierwszych chwil ich istnienia. Odnosi się to do

każdej istoty ludzkiej, niezależnie od jej kondycji zdrowotnej, od tego czy żyje jeden dzień czy dziewięćdziesiąt lat, ale także niezależnie od sposobu w jaki powstała: czy jest naturalnie poczętym, kochanym przez rodziców i oczekiwanym dzieckiem, czy też nie była w żaden sposób chciana, a powstała wskutek niefrasobliwości dorosłych, czy nawet w wyniku gwałtu. Sposób powstania i to, czy ktokolwiek na świecie go akceptuje, czy też nie, w żaden sposób nie wpływa na status konkretnego człowieka. Wszyscy są obdarzeni tą samą niezbywalną i przyrodzoną godnością.

Odnosi się to także do dzieci powstałych w wyniku zapłodnienia in vitro. Bóg kocha je tak, jak wszystkie inne dzieci, od początku ich zaistnienia. Czy jednak były one od początku swojego zaistnienia kochane przez swoich rodziców? Już samo postawienie takiego pytania powoduje zazwyczaj falę oburzenia i zarzut nienawiści. Jednak właśnie tu tkwi sedno zdecydowanego sprzeciwu wobec zapłodnienia in vitro, podnoszonego przez Kościół katolicki, a także szerzej – przez etykę personalistyczną. Tu też tkwi ziarno prawdy zawarte w stwierdzeniu z podręcznika prof. Roszkowskiego. Nikt oczywiście nie ma cienia wątpliwości, że dzieci powstałe w wyniku zapłodnienia in vitro (a jest ich już w Polsce znacznie ponad dwadzieścia tysięcy) są *dzisiaj* kochane przez swoich rodziców. Szczegółowa analiza procedury zapłodnienia in vitro pokazuje jednak, że nie było tak od początku ich istnienia. Na samym początku procedury, w momencie powołania go do życia, to konkretne dziecko, tak bardzo dzisiaj kochane, było dla rodziców jedynie jednym z kilku embrionów. Równie dobrze mogło podzielić los swojego rodzeństwa: zginąć przy nieudanej próbie implantacji w macicy, pozostać w stanie zamrożenia w ciekłym azocie lub po prostu – jako embrion nadliczbowy – zostać zutylizowane (uśmiercone) po upływie określonego prawem czasu. Miłość rodziców stała się jego udziałem dopiero po tym, jak to właśnie ono zaczęło się rozwijać po implantacji. Pozostałe embriony, które zaistniały dlatego, by zwiększyć prawdopodobieństwo powodzenia całej procedury, nie były i nie są już kochane. Tak jak one, był też traktowany na początku swego istnienia ten embrion, który dzisiaj – jako urodzone dziecko – może cieszyć się miłością rodziców. Takie potraktowanie go, chociaż w żaden sposób nie zmienia jego statusu moralnego i prawnego, godzi w jego ludzką godność.

Nigdy nie wolno określać dzieci powstałych w wyniku zapłodnienia in vitro jako „produktów laboratoryjnych”. Wolno jednak i trzeba zgodnie z prawdą powiedzieć, że *zostały one potraktowane jak produkty laboratoryjne*. Nie da się po prostu przeprowadzić zapłodnienia in vitro, nie stosując wobec ludzkich zarodków standardów właściwych

procesowi produkcyjnemu bądź hodowli: selekcji materiału wyjściowego, monitorowania procesu produkcyjnego, kontroli jakości. W miejsce zadanego przez prof. Roszkowskiego pytania o to, kto będzie kochał takie dzieci, należałoby raczej zapytać: Czy godzi się powszechnie stosować i finansować z pieniędzy publicznych procedury medyczne, w ramach których traktuje się istoty ludzkie na pierwszym etapie ich istnienia w taki sam sposób, w jaki traktuje się wytwarzane w procesie produkcyjnym produkty?

Październik 2022

Żegnaj religio!

Zjawisko wypisywania się młodzieży i dzieci z lekcji religii jest odbiciem galopującej sekularyzacji w Polsce. Dotyczy ono już nie tylko jakiejś grupy osób zdystansowanych wobec wiary chrześcijańskiej, ale stało się swego rodzaju modą wśród samych uczniów i ich rodziców. Dokonuje się także pod wpływem intensywnej propagandy środowisk jawnie wrogich wobec każdego wpływu wiary religijnej na życie społeczne. Jej wyrazem jest akcja stowarzyszenia Same Plusy, które zainicjowało objazd po miastach Polski centralnej i północnej furgonetki z napisem „Żegnaj religio!”. Ma ona informować o możliwości wypisywania dzieci z religii przez rodziców. Projekt ten jest związany ze środowiskami radykalnej lewicy występującymi z żądaniami laicyzacji przestrzeni publicznej i został sfinansowany ze środków fundacji Ogólnopolski Strajk Kobiet. Występuje też z bardzo podobną retoryką, jaką cechowały strajki spod znaku czerwonej błyskawicy. Nauka religii ma, zgodnie z nią, polegać przede wszystkim na uczeniu nienawiści do kobiet oraz osób LGBT, a przy tym wiązać się z wprowadzaniem dzieci i młodzieży w środowisko, w którym prawdopodobieństwo trafienia na pedofila ma być niewspółmiernie większe, niż gdziekolwiek indziej.

Sztandarowy zarzut siania nienawiści na lekcji religii brzmi tym bardziej kuriozalnie, jeżeli jest formułowany przez te same środowiska, które są odpowiedzialne za szarganie świętych znaków i symbolów, wulgarne wyśmiewanie wiary, czynne ataki na Kościoły, a także na furgonetki antyaborcyjne. Różnica między katolikami a zwolennikami ateizacji przestrzeni publicznej staje się jasna, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że furgonetki z napisem „Żegnaj religio” nikt do tej pory nie zaatakował.

Na takim stwierdzeniu jednak nie można poprzestać. Problemem, który trzeba bardzo poważnie przemyśleć jest nie tylko agresywna retoryka antykatolicka, ale przede wszystkim fakt, że znajduje ona tak szeroki posłuch wśród katolickich rodziców. Trudno mieć pretensje jedynie do dzieci i młodzieży, gdyż to właśnie ich rodzice odgrywają tutaj rolę kluczową. Jeżeli z jednej strony bardzo potrafią skrupulatnie dbać o to, co dziecko je i w jakich dodatkowych zajęciach uczestniczy – i tu potrafią być zdecydowani i angażować się w tłumaczeniu dziecku potrzeby odpowiednich zachowań i wyborów – natomiast z drugiej strony kwestia lekcji religii nie należy do tych ważnych spraw, o które warto się zmagać, to oznacza to głęboki brak chrześcijańskiej tożsamości i rezygnację z podstawowego religijnego obowiązku. I nie chodzi tu jedynie o tłumaczenie dziecku potrzeby uczestniczenia w lekcjach religii, ale także o stanowcze domaganie się od dyrekcji szkół, by lekcje religii nie były spychane niejako poza główny plan zajęć, na wczesne poranne lub późne popołudniowe pory, co czasami znacznie utrudnia uczestnictwo w nich dzieci i młodzieży.

Konieczna jest jednak także refleksja systemowa. Kościół w Polsce musi na nowo przemyśleć kwestię nie tylko lekcji religii, ale także ewangelizacji i katechezy dzieci i młodzieży. Trzeba przy tym krytycznie spojrzeć na błędy z tą kwestią związane, jakie zostały popełnione w przeszłości, szczególnie w kontekście wprowadzenia lekcji religii do szkół. Trudno zgodzić się z głosami, które negują sensowność tego kroku, dokonanego na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nie jest on bynajmniej jedyną przyczyną obecnej mizarii. Takie spojrzenie nie bierze pod uwagę faktu głębokiej przebudowy świadomości społecznej, jaka dokonała się w ostatnich trzydziestu latach. Naiwnością jest sądzić, że dzieci i młodzież, jak to było wcześniej, również dzisiaj masowo uczęszczaliby do salek katechetycznych. Poza tym na całych obszarach naszego kraju katecheza parafialna również przed wprowadzeniem religii do szkół nie była prowadzona z racji braku infrastruktury, odległości, zaniedbań i innych przeszkód, a nawet tam, gdzie istniała, uczestniczy[†] w niej jedynie pewien procent dzieci i młodzieży.

Najistotniejsze jest jednak uświadomienie sobie kluczowych rozróżnień: lekcja religii nie jest katechezą w sensie ścisłym. Chociaż wśród celów lekcji religii wymienia się – obok przekazu wiedzy religijnej (nauczania) i kształtowania postaw (wychowania) – także przygotowanie do wtajemniczenia chrześcijańskiego, ten ostatni cel należy wyraźnie do katechezy, zwłaszcza katechezy inicjacyjnej, dla której odpowiednim miejscem nie jest szkolna lekcja religii, lecz wspólnota parafialna. Katecheza zakłada wiarę uczestników, a więc także

poprzedzającą ją ewangelizację, a tego nie sposób zakładać u wszystkich uczestników lekcji religii, którymi mogą być (przynajmniej teoretycznie) także inaczej wierzący, obojętni religijnie, czy nawet niewierzący. Utożsamienie lekcji religii z katechezą prowadziło nierzadko do całkowitego dyspensowania się parafii od organizowania spotkań katechetycznych. Tu, jak się wydaje, niezbędna jest wzmożona aktywność Kościoła na poziomie parafii. Nie może to być oczywiście proste wskrzeszenie dawnych schematów w nadziei, że tym samym sytuacja automatycznie się poprawi. Muszą zostać wypracowane – we współpracy ze świeckimi i przy ich czynnym udziale – nowe pomysły na nowoczesną katechezę parafialną, poprzedzoną jednak solidną ewangelizacją, by przysłowiowo nie rozpoczynać budowy domu wiary od dachu, lecz oprzeć go na solidnym fundamencie. Samo narzekanie na galopującą sekularyzację i tęsknota za dawnymi czasami nic nie daje....

Listopad 2022

Johnny

Każdy, kto zetknął się osobiście z ks. Janem Kaczkowskim albo choćby oglądał jeden z krążących po Internecie materiałów z jego udziałem, doceni w filmie Daniela Jarosza „Johnny” przede wszystkim grę głównego aktora. Poza znakomitą charakteryzacją i zewnętrznym upodobnieniem, grającemu tytułową rolę Dawidowi Ogrodnikowi, udało się w perfekcyjny sposób odzwierciedlić nie tylko lekko kuśtykający sposób chodzenia ks. Jana, ale także jego sposób wypowiedzi, z charakterystyczną lekką wadą wymowy.

O czym jest ten film? „Johnny” to niewątpliwie film o nietuzinkowym duchownym, który łączył w sobie wiele cech kogoś w rodzaju „superksiędza”. Chociaż miejscami zostaje on w filmie ukazany w nieco hagiograficzny sposób jako osoba, która pochyla się z szacunkiem i zrozumieniem nad wszystkimi życiowymi rozbitkami i dla każdego w swoim otoczeniu ma jedynie dobre słowo, to jednak nie jest to nazbyt rażące. Bardzo oszczędnie pokazano ostre kanty mocnej osobowości ks. Kaczkowskiego, o których sam zresztą przy wielu okazjach wspominał. W wywiadach prasowych reżyser filmu, Daniel Jaroszek deklarował, że jego celem nie było eksponowanie i dawanie pożywki dla antykościelnej tendencji, jaka w ostatnich latach stała się standardem w polskich produkcjach filmowych. Stąd nieco szablonowe sceny,

kreujące ks. Jana na samotnego fightera wobec instytucji kościelnych (negatywna, wręcz odrażająca postać arcybiskupa skoncentrowanego wyłącznie na swojej władzy) czy też państwowych (równie negatywna postać bezdusznej sędzi skazującej młodego przestępcę Patryka na powrót do więzienia, mimo jednoznacznie pozytywnego świadectwa otoczenia), nie są liczne.

Na pytanie o główny wątek filmu, można jednak udzielić także innych odpowiedzi – i to jest w sumie wielki atut tej produkcji. Jest to niewątpliwie film o udanej resocjalizacji i przemianie młodocianego przestępcy w sumiennego pracownika oraz szczęśliwego męża i ojca rodziny. Jest to też film o męskiej przyjaźni księdza z młodym mężczyzną z marginesu, która to przyjaźń staje się katalizatorem wielkiej życiowej przemiany. Jednak nie wolno pominąć jeszcze jednego motywu: jest to film o hospicjum. I to nie tylko o tym konkretnym hospicjum w Pucku, które dzięki swojej charyzmie i uporowi powołał do życia i wspianale prowadził ks. Kaczkowski. Jest to film o samej idei hospicjum.

Gdyby idei hospicjum nie wymyśliła i nie wcieliła w życie angielska lekarka Cicely Saunders, zakładając w 1967 r. w Londynie Hospicjum św. Krzysztofa, prędzej czy później uczyniłby to ktoś inny. Ta idea stała się z jednej strony wyrazem, a z drugiej – katalizatorem bardzo istotnych zmian w całej medycynie. W miejsce pozostawiania chorych w sali szpitalnej za białym parawanem, gdy w obliczu nieuchronnej śmierci nie można im już było pomóc, pojawiła się idea towarzyszenia umierającym. W miejsce podejścia masowego pojawiło się podejście indywidualne, w ramach którego nie tylko kładzie się nacisk na skuteczne zmniejszenie bólu i zwiększa zakres zabiegów pielęgnacyjnych, ale przede wszystkim poszerza się przestrzeń kontaktu i czas, jaki opiekunowie i wolontariusze spędzają z chorymi. Nie brak świadectw, że takie podejście potrafi u nieuleczalnie chorych złagodzić, a nawet całkowicie wygasić głośno wypowiedzane pragnienie śmierci, mimo świadomości nieuchronnie zbliżającego się kresu życia.

W filmie „Johnny” pojawia się kilka scen śmierci pacjentów hospicjum, a w finale filmu – także śmierci samego ks. Jana. To właśnie konfrontacja z nieuleczalnie chorymi i ich śmiercią była wstrząsem, który najpierw szokował otoczenie ks. Jana, a potem zjednywał sympatię wielu osób dla jego pracy. Dotyczy to przede wszystkim takich pozornych „twardzieli” jak uczniowie szkół ponadpodstawowych, w których ks. Jan uczył religii czy też filmowego Patryka skazanego przez sąd na odpracowanie wyroku w hospicjum, ale także całego szeregu innych osób, dzięki którym puckie hospicjum mogło powstać i funkcjonować jako miejsce przyjazne

dla pacjentów, poczynawszy od darczyńców, poprzez fachową obsługę medyczną, aż po innych pracowników (w filmie pojawia się postać niezwyklej kucharki – Pani Eli). Chociaż historia puckiego hospicjum pozostanie nierozdzielnie związana z niezwyklej człowiekiem, jakim był ks. Jan Kaczowski, to jednak nie on wymyślił ideę hospicjum. Nie musiał tego robić, bo miał gotowe wzorce, które wystarczyło wcielić w życie, co ks. Jan zrobił zresztą w znakomity sposób. W filmie nie brak charakterystycznych powiedzonek, ciętych ripost i bon motów, z jakich był znany ks. Jan. Film pokazuje jednak także – chociaż oszczędnie – jego pracę jako kapłana, duszpasterza zwykłych ludzi i umierających z całą dramaturgią tej trudnej, ale niezwykle cennej posługi. „Johnny” to bez wątpienia film wart obejrzenia. Ostatecznie jest to film o tym, że nawet krótkie życie, jeżeli tylko jest przeżywane „na pełnej petardzie”, może być życiem spełnionym; życiem, które pozostawia głęboki ślad w sercach i umysłach innych.

Grudzień 2022

Mundialowa gorączka

Jest coś fascynującego w futbolu, szczególnie tym z górnej półki; coś, co porywa, przyciąga uwagę, wywołuje silne emocje, każe całkowicie zmienić plan dnia, a nawet inwestować wiele czasu i wydawać niemałe pieniądze po to, by móc poczuć się częścią tego niezwyklej wydarzenia, jakim jest dobry mecz piłkarski albo przynajmniej móc go zobaczyć w mediach. Ta fascynacja nie jest jedynie współczesnym fenomenem, ale towarzyszy temu sportowi od czasu jego powstania. Niemal każdy mężczyzna przechowuje w swojej pamięci wspomnienia z dzieciństwa, gdy przydomowe podwórko zamieniało się w chłopięcej wyobraźni w stadion z dziesiątkami tysięcy kibiców, a on sam z wypiekami na twarzy strzelał decydujące bramki na miarę złotego medalu. W miarę, przybywania siwych włosów na głowie i kilogramów na wadze, bieganie za piłką zostało wprawdzie zamienione na oglądanie zmagień piłkarskich w telewizji, ale niekłamana fascynacja pozostała.

Okazuje się, że fenomen futbolu potrafi przekraczać granice nie tylko państw, ale także kultur, czego najlepszym dowodem są mistrzostwa świata zorganizowane w Katarze. Wprawdzie na każdych poprzednich piłkarskich mistrzostwach świata nożnej działo się coś

wyjątkowego – zarówno na stadionach, jak i za kulisami zmagania piłkarzy – jednak tegoroczny mundial niewątpliwie przejdzie do historii. Już sam wybór Kataru na miejsce rozgrywek, ale też wybór pory roku, w której zostały rozegrane, były wyjątkowe. Gospodarzem mundialu został kraj, który dotychczas w żaden sposób nie kojarzył się z piłką nożną. Chyba też nigdy w tak znacznym stopniu nie pokazały swoich umiejętności piłkarskich te drużyny, które do tej pory uchodziły raczej za tło światowej piłki, podczas gdy wiele dotychczasowych potęg futbolowych musiało opuścić rozgrywki już po fazie grupowej, nie kwalifikując się do dalszych zmagania. Niewiele było w tegorocznym mundialu meczów nudnych, przekalkulowanych i mało interesujących, za to zarówno liczba goli i zaangażowanie zawodników, jak też umiejętna, ale także po prostu ładna gra zespołowa cechowały każdy niemal zespół.

W tegorocznym mundialu bardziej niż zwykle ukazała się także inna strona futbolu. Jego popularność i związana z nim fascynacja sprawiają, że piłka nożna jest źródłem astronomicznych niemal zysków nie tylko dla piłkarzy, ale także dla wielokrotnie liczniejszego grona działaczy, instytucji i osób, które na niej się bogacą. Futbol stał się intratną gałęzią przemysłu rozrywkowego, co samo w sobie nie byłoby jeszcze ani dziwne, ani naganne. Na tym tle jednak coraz bardziej widoczny staje się jeszcze jeden, już mocno problematyczny wymiar futbolu: wymiar polityczny. Zarówno kibice, jak i widzowie przyzwyczaili się już do reklam jakie zazwyczaj otaczają murawę, na której odbywają się zmagania sportowe. Coraz bardziej jednak wielkie wydarzenia sportowe nabierają rangi demonstracji politycznych. Trzeba przyznać, że są one zrozumiałe i słuszne, jeśli w grę wchodzi podstawowe prawa człowieka. Towarzysząca otwarciu tegorocznego mundialu wielka debata dotycząca przestrzegania praw kobiet, czy też traktowania robotników, którzy budowali obiekty sportowe, sprawiała mimo to wrażenie obłudnej, gdyż zarówno władze FIFA, jak i dziennikarze sportowi dokładnie wiedzieli już kilka lat wcześniej o sytuacji społecznej w kraju, któremu przyznano prawo do zorganizowania tej imprezy. Nikt też nie neguje tego, że podstawowe prawa człowieka, do których należy przede wszystkim prawo do życia i nietykalności cielesnej, jak i prawo do sprawiedliwego wynagrodzenia i godziwych warunków pracy, powinny być bezwzględnie przestrzegane. Jednak trudno nie odnieść wrażenia, że te kwestie od samego początku utonęły w wielkich pieniądzech, jakie były związane z tegorocznym mundialem już na etapie podejmowania decyzji o jego lokalizacji.

Jeszcze bardziej problematyczne jest to, że z wyrażanymi na stadionach ważnymi postulatami przestrzegania praw człowieka powiązane zostają roszczenia mniejszościowe,

szczególnie roszczenia środowisk LGBT. Od jakiegoś już czasu w rozgrywkach ligowych najważniejszych i najbogatszych europejskich klubów piłkarskich pojawił się zwyczaj noszenia przez kapitanów drużyn tęczowych opasek na ramieniu. Niewątpliwie szlachetny postulat propagowania w czasie rozgrywek futbolowych zasad fair-play oraz szacunku dla każdego człowieka, zostaje tu przekształcony w akt politycznego poparcia dla jednej grupy mniejszościowej, dążącej do redefinicji małżeństwa i rodziny, a w konsekwencji do reedukacji całego społeczeństwa. Ostatecznie w Katarze FIFA uległa sprzeciwowi gospodarzy w tej materii i tęczowe opaski się nie pojawiły, jednak już sama próba wykorzystania światowej imprezy futbolowej do tego rodzaju propagandy, musi budzić niesmak. Zapewne ludzi się ten, kto ma nadzieję, że fascynujące wydarzenia sportowe, do których niewątpliwie należą mistrzostwa świata w piłce nożnej, pozostaną w przyszłości wolne od tego rodzaju ideologicznej propagandy.

Ks. Marian Machinek MSF